POLISH WEEKLY OBYWATEL THE CITIZEN
OBYWATEL'S BUILDING BATHGATE AVE. N.Y. CITY

OBYWATEL THE CITIZEN

Rok II. New York, 14 Marca 1896 Nr. 12.

ZE SWIATA.

‡ Rzym. Włoskim wojskom w Afryce dał się już od tygodnia uczuć brak zapasów. Wielka liczba oficerów przyprowadzona do rozpaczy rzuciła się prawie ślepo na wroga, —wszyscy wyginęli. Abisyńczycy wyrznęli całe bataliony, posługując się przeważnie bagnetami. Rozproszyli Włochów na wszystkie strony. Brygada generała Albertini została zupełnie zniesiona.

‡ Londyn. Włochy zwróciły się do Anglii z prośbą o pomoc w Afryce. Niemcy popierają tę prośbę.

‡ Peking. Rząd francuski udzieli Chinom pożyczki w sumie 100,000,000 taelów, które będą zabezpieczone na dochodach z cła.

‡ Rzym. Przyjmują tutaj jako pewność, że miejsce Crispi'ego zajmie Rudini, a ministrem wojny będzie generał Ricotti.

‡ Petersburg. „Petersburgskie Wiadomości" otrzymują z Sofii zawiadomienie, że Bułgarzy wywołują powstanie w Macedonii, by się na Turcyi zemścić za uznanie ich księciem Ferdynanda, którego się chcieli pozbyć. Burzą się również przeciw Rosyi za uznanie Ferdynanda księciem.

‡ Konstantynopol. Podobno sułtan cofnął pozwolenie rozdawania wsparcia między Ormian, którego jeszcze poprzednio członkom Towarzystwa Czerwonego Krzyża był udzielił.

‡ Londyn. „Times" ogłasza depesze z Shanghai, które podaje warunki zaczepno-odpornego przymierza, które Chiny zamierzają zawrzeć z Rosyą.

„Obywatel"

(The Citizen.)

ISSUED EVERY SATURDAY.

LOUIS NIEMO, (Ludwik Niemojowski) Pub.

2081 BATHGATE AVE., NEW YORK.

SUBSCRIPTION:

ONE YEAR $2.00 IN ADVANCE.

Single Copy 5 Cents.

Entered at the New York Post Office as second Class Mail Matter.

RATES OF ADVERTISEMET:

One inche for one year . . .	$20.00
One inche for six months . . .	$10.00
One inche for three months . .	$ 6.00
One inche once	$ 1.00

One line once 10 cents.

(Nonpareil measurement, 12 lines to one inche).

Prenumeratę roczną, półroczną lub kwartalną należy nadsełać w liście registrowanym, przez „Money Order", express lub w 2 centowych znaczkach pocztowych pod adresem:

Louis Niemo, Publisher

2081 Bathgate Ave., New York.

KRONICZKA Z NEW YORKU I OKOLICY.

* Upraszam Szan. Członków Zjednoczenia parafialnego, by każdy na posiedzenie odbyć się mające dnia 15 marca br. przyniósł książeczkę wpisową i wręczył takową sekretarzowi finansowemu oraz aby ten, który odebrał i odbiera „Obywatela" jako organ Zjednoczenia bez którego obejść się nie możemy, zapłacił do rąk Komitetu pierwszą ratę prenumeraty to jest 50 centów.

B. Mruczek, sekr. prot.

‡ Tylko te kolonie polskie w Stanach Zjednoczonych prosperują których centrum było założone w miejscowościach gdzie rodacy nasi mogli zakupywać loty za umiarkowaną cenę. Milwaukee, Chicago, Buffalo i wiele innych miast dają tego dobitne przykłady. Gdyby Polacy w New Yorku zamiast trzymać się dzielnicy żydywskiej—wybrali miejscowość mniej zabudowaną — bezwątpienia mielibyśmy polską dzielnicę z polskiemi budynkami i interesami.

Większość naszych parafian jest zdania, że kościół polski przy Stanton ulicy jest za mały i pod wielu względami niedogodny i nieodpowiedni; są nawet tacy, którzy agitują kupno Irlandzkiego kościoła prz Grand str.

Czyż nie lepiej by było zakupić loty pod kościół w górze miasta i przez to dać możność naszym rodakom budowania własnych domków i zakładania własnych interesów? Kwestję tą omówimy w przyszłości a tymczasem zostawiamy losy polskiej dzielnicy (gdyż to jest jedyny sposób z centralizowania Polonii) w rękach Wielb. ks. Strzeleckiego i przywodzców parafii.

‡ Sprawa sądu Gminnego zwołanego na skargę Ed. Kołakowskiego jeszcze nie zakończona. O rezultacie zawiadomimy w swoim czasie a nateraz wstrzymujemy się od wszelkich komentarzy.

‡ Orzeł ze swymi leib-literatami od Gazety oblatywał całe miasto, szukając „poetę", któryby za parę dolarów napisał wierszyk na „Obywatela". Znaleźli nareszcie natchnionego wieszcza. Widzieliśmy ten utwór, który choć koślawy, ale trzeba przyznać, bardzo dobitny. Winszujemy Orłowi i jego pomocnikom energii i sukcesu.

‡ Ob. Fr. Gryglaszewski, były cenzor Z. N. P. bawi od czwartku w New Yorku.

‡ Wydawca „Obywatela" potknąwszy się podczas przeszłotygodniowej ślizgawicy złamał sobie palec u prawej ręki i przez to liczna bardzo korespondencja jest w zupełnem zawieszeniu. Upraszamy interesowanych o kilka dni cierpliwości.

‡ Karol Pustelka, Czech, którego w zeszły piątek trybunał przysięgłych uznał winnym zamormordowania swej żony, został skazany na karę śmierci na krześle elektrycznym. Egzekucja śmierci nastąpi 20 kwietnia b. r. Pustelka zabił swą żonę w listopadzie roku zeszłego.

‡ Pytają się nas z wielu stron, dlaczego nie nie piszemy o kwestji semickiej i antysemickiej, które tyle hałasu narobiły ostatnimi czasy. Z zasady nie reklamujemy żadnych dążeń, które na kłótniach lub bójce skończyć się mogą, a przez to imię nasze na szwank narażają. Większość głosów organizacyi, do której obydwie partje należą jest trybunałem odpowiednim do załatwienia tej sprawy.

‡ Do sprzedania lota na dogodnych warunkach w granicach New Yorku. Cena $450. Wiadomość u p. Kucharskiego, 9ta ulica pom. 3 i 4 ave., Williamsbridge, N. Y.

DO

Polaków w New Yorku Brooklynie i Okolicy.

Odezwa.

Współ-Rodacy!

„Oddział Skarbu Nar. Pol. w Rapperswylu na New York i okolice widząc, że duch narodowy budzi się wśród kolonii polskiej coraz bardziej, i że ofiarność Rodaków na Skarb Narodowy wzrasta, pragnie złożyć przed całym ogółem publicznie sprawozdanie ze swych czynności za ubiegły 1895 rok.

„Oddział Skarbu Narodowego" spostrzega z prawdziwą radością, że Patryotyzm polonii Nowojorskiej i okolicznej nie ogranicza się do słów, lecz okazuje się też w czynach, w ofiarach pieniężnych płynących ze wszech stron obficie.

Rodacy! czytajcie nasze pisma europejskie pilnie, a dowiecie się z nich, że wrogowie imienia polskiego napierają na nas ze wszech stron z coraz to większą zaciekłością, starając się uśpić naszą czujność tam, gdzie nas pokonać lub złamać nie mogą.

Lecz nie dajmy się uwodzić złudnym nadziejom, nie wierzmy wrogom uśmiechającemu się do nas, bo za tym uśmiechem kryje się zdrada i śmierć nasza, lecz zwiększajmy swoją czujność, walczmy z nieprzyjaciołmy swymi i powiększajmy stale fundusze do tej walki potrzebne; słowem — składajmy nasze wdowie centy na Skarb Narodowy w Rapperswylu.

Bliższych szczegółów o tem, ile Polacy w New Yorku, Brooklynie i okolicy przyczynili się do powiększenia funduszów Skarbu Rapperswylskiego, dowiecie się Rodacy na walnem zebraniu, które odbędzie się w niedzielę 22go Marca r. b. o godz. 3ej po południu, w sali pod No. 295 E. 3 str. w New Yorku.

Na tym że zebraniu odbędzie się wybór nowego zarządu „Oddziału Skarbu" na bieżący 1896 rok.

Rodacy! przybywajcie tłumnie na to patryotyczne zebranie i okażcie się przez to wiernymi synami naszej uciemiężonej Ojczyzny Polski.

Niech żyje Wolność!
Niech żyje Skarb Rapperswylski!

S. DOMALEWSKI,
M. STEFANOWICZ,
F. DOWGIALOWICZ,
M. KONINSKI,
A. DOMALEWSKI.
Zarząd.

New York 5go Marca 1896 r.

Leon Rosenblatt,
AGENT UBEZPIECZEŃ OD OGNIA i NA ŻYCIE.
23-25 Jefferson St., New York.

Rozmaitosci.

|| Palma daktylowa dostarcza rocznie od jednego do czterech cetnarów owocu, kokosowa wydaje tonę orzechów. Drzewa pomarańczowe są nadzwyczaj płodne; z jednego drzewa na wyspach Azorskich zebrano 20.000 dojrzałych pomarańcz; 5.000 do 10.000 sztuk stanowi zwykły plon dużego drzewa. Hektar ziemi zasadzony bananami dostarczy 44 razy tyle pożywienia, co hektar kartofli, a 133 razy tyle, co ta sama przestrzeń zasiana pszenicą. Jeden szczep winogradu w Hampton Court wydał tonę owocu.

|| Kominy fabryczne pod względem wysokości mogą niekiedy walczyć o lepsze z wieżami: najwyższym na świecie jest komin w Townsend w Glasgowie, mierzący 138 metrów. Drugie miejsce zajmuje komin w Trechery w Saksonii, wysoki na 135 m. i przeznaczony do odprowadzania gazów z pieców. Potem idą kominy francuzkie: w Etaings, 106 m. w Croix koło Sille, 105 m. i w Rive-de-Gier, 105 m. Kosztowały one od 150.000 do 175.000 fr.

Odpowiedzi Redakcji.

— PANU S. NEW YORK: Zamiast krytykować i wprowadzać nowe metody opodatkuj się pan dobrowolnie, gdyż:

Dobry przykład silniej działa
Niźli metod cały krater;
Pięknych słów mknie powódź cała,
Czyn szlachetny — to bohater.

— NOWOJORCZANCE która chcę skorzystać z przywileju przestępnego roku (leap year):

Wypada — i nie wypada....
Bo mogłabyś sąsiada —
Odstręczyć —
On milczy nie bez racyi ..
Ty chcesz go w deklaracyi
Wyręczyć.
Lepszy jest sposób na to:
Wynajdź ciotkę bogatą,
Proś najgoręcej,
Niech wystąpi wspaniale
I da ci w kapitale
Z dziesięć tysięcy.
Środek pewny zaradczy —
Ośmieli się — oświadczy.
Tak bywa —
Bo i miłość chłód czuje,
Gdy człowiek potrzebuje
Grosiwa.

— Pannie JUSTYNIE i p FRANCISZKOWI w N. Y.

Kobieta, chcąc swą ręką najwięcej zarobić,
Tak młodzieńca zacnego winna usposobić,
Żeby, pragnąc ukrócić straszną serca mękę,
Upadł jej plackiem do nóg i prosił o — rękę!

G. Lando, Fotografista,
365 Grand St. N. Y.
Wszelkie gatunki fotografij kopiuję, powiększam lub zmniejszam do każdej wielkości.
Polecam pastelowe i crayonowe roboty. Gwarantuję za dobre wykończenie.
— MÓWI SIĘ PO POLSKU. —

NIKODEM BOCzKOWSKI
314 — 6 st. Jersey City,
przedaje karty okrętowe na najlepsze linje do i z Europy
wysyła pieniądze do wszystkich części świata.
Polecam się łaskawym względom Szanownej polsko-katolickiej publiczności
Nikodem Boczkowski
314 — 6th str. Jersey City, N. J.

Jedyna Polska Fabryka Cygar
L. BRESLOW,
87 Ridge St. New York,
która wyrabia prawdziwe, słynne w całej Ameryce cygara „Kosciuszko."
Dla odbiorców hurtownie odpowiedni rabat
Poszukuje się polskich agentów w każdej miejscowości.
HAWAŃSKIE CYGARA SPECJALNOŚĆ.

Soyer's Secret Detective Service,
Experience since 1869.
A moderate per diem being charged for each detective detailed. Only legitimate detective investigation will be undertaken.
Private Office: 2213 5th. Ave, New York City.

Tomasz Kasprzak i Kołłątaj.
DYRYGIENCI ORKIESTRY POLSKIEJ
dostarczają doborową muzykę na Koncerta, Bale, Teatra i Pikniki dla wszystkich Polskich Towarzystw pod nader przystępnemi warunkami,
516 E. 14th st. . . . New York.

Drukarnia „Obywatela" 2081 Bathgate Ave.
(Obywatel's Building)
Wykonuje wszelkie roboty w zakres drukarstwa wchodzące
Szybko, Gustownie i Tanio.

RYZYKANT.

Ze szkica granicznego.

Do chałupy, na końcu wsi, szedł pospiesznie Rudy Szmul znany koniokrad i handlarz przemycaną okowitą. Jego wysoka chuda postać rzucała na śniegiem pokrytą ziemię cień długi, który malał skoro księżyc za chmury się chował.

Twarz żyda odpowiadała opinii, na jaką sobie zapracował: sucha, koścista, brodą rzadką okolona, z nosem krogulczym, pod którym usta wąskie uśmiechały się złośliwie, miała wyraz odstręczający. Był to typ czysto wschodni, lecz nie ten łagodny, spokojny, do marzeń skłonny i lękliwy, ale dziki, rozbestwiony, nie zdradzający żadnych szlachetnych uczuć. Rudy Szmul tem się od współwyznawców różnił, że nie mdlał na widok noża lub strzelby, z któremi miał często do czynienia, byle się zdarzyła „robota". Szmul brał w niej udział bez wahania.

Stanąwszy przed chałupą, do drzwi zakołatał.

— Kogo-ta czart po nocy tłucze? — ozwał się szorstki głos z wewnątrz.

— Otwierajta prędzej, bo ziąb i czasu niema — zawołał Szmul niecierpliwie.

— Szmul! pewnikiem nie po próżnicy — mówił młody, barczysty chłop, otwierając drzwi. — Dalej, właź do izby.

Wnętrze chaty cechował dostatek i pretensya do zbytku nawet. Na ścianach, pomiędzy dziesiątkiem obrazów świętych, wisiał zegar, misy, łyżki i garnki umieszczone były w czarno lakierowanej szafie za szkłem, na której pyszniła się wielka harmonia, z potrójną klawiturą i dzwoneczkami. Mieszkaniec chaty, Wawrzon Kozik, do najzamożniejszych

gospodarzy we wsi należał. Oprócz chałupy, budynków, inwentarza, posiadał sporo gruntu w dobrej glebie a ludzie popowiadali, że i gotowizny ma niemało. Sam gospodarstwem się nie zajmował, te prace poruczył stryjowi, który u niego na łaskawym chlebie siedział.

Wawrzyn należał do najśmielszych i najzręczniejszych przemytników, zwano go też ryzykantem, a on był dumny z tego przezwiska, niby szlachcic z herbu. Sam rzadko kiedy nosił „szwarc", chyba że szło o rzeczy większej wartości, jakie materye lub klejnoty, natomiast używano go za prowodyra dużych transportów lub do przeprowadzania przemykających się chyłkiem przez granicę.

— Nu, Wawrzon, już czas — rzekł Szmul siadając na ławie.

— Wiem, że czas — odparł Kozik obojętnie.

— Zabierajta się i w drogę. Oni tam czekają

— Niech czekają.

— Nie pójdziesz?

— Czemu nie? Ino na darmochę karku nadstawiać nie będę.

Żyd cmoknął, uśmiechnął się i rękę w zanadrze wsunął.

— Aj, jaki z ciebie mądry jest! — rzekł. Jabym ciebie przecie nie okpił, czy to pierwszy raz robimy interes?

— Tybiś samego rabina okpił, chociaż się przed nim kiwasz!

— Ile ci dać? — spytał Szmul otwierając zatłuszczony pugilares.

Nastąpił targ. Szło tu o przeprowadzenie wielkiej ilości okowity, którą aż ośmnastu ludzi niosło, i ładunku złotych zegarków, wartość około 6,000 rs. Wawrzon żądał z początku sto rubli, na co się Szmul oburzył wielce, wreszcie po długich targach na sześćdziesięciu stanęło i to z góry wypłaconych.

Stękał żyd, pluł, klął, narzekał ale pieniądze wyliczył.

— I co ty z pieniądzmi będziesz robił? — mówił kładąc ostatnią trzyrublówkę. — Chyba folwark chcesz kupić.

— Myślisz że nie? — odparł chełpliwie Kozik. — Da Bóg takie trzy albo cztery roki jak ostatni i na folwark wystarczy. Patrzaj, łepski grosz, co?

— To mówiąc z pod koszuli, na piersiach ukryty, worek płócienny wyjął a z niego gruby zwój banknotów.

Żydowi oczy się zaiskrzyły.

— Aj, aj,—zawołał zdziwiony — zkąd tyle masz? Wiele tego jest?

— Wiele jest to jest, a żem nie ukradł, sam wiesz przecie — odparł Wawrzon i do worka pieniądze schował, doliczywszy nowo zarobione sześćdziesiąt rubli.

— Życzę tobie, cobyś sto tysięcy zebrał. Na sumienie, ja twój przyjaciel. No — dodał wstając — w drogę ruszaj. Przy Czerwonce będę na was czekal.

Kiwnął głową i wyszedł.

* *
*

W kilka godzin Wawrzon przez granicę przeprowadził pomyślnie przemytników. Szedł śmiało naprzód, z dubeltówką do wystrzału przygotowaną, okiem znawcy przenikał ciemności nocne, bo nie obce mu one były. Za nim długim szeregiem postępowali przemytnicy, obładowani pęcherzami z okowitą; jeden z nich, przechrzta, dźwigał skrzynkę z zegarkami. Przechodzili przez gęsty las a droga była fatalna. Krzewy jałowców, młode sośnie i świerki tamowały przejście — nogi lgnęły w głębokim śniegu, białym szlaku, jak go nazywają przemytnicy. Ostrożność należało zachować wielką. Trzask gałęzi, odgłos kroków — mógł zwabić strażników, którzy często z pod ziemi zdawali się wyrastać.

Nagle Wawrzon stanął — nadstawił uszu, stanęła też cała kawalkata.

— Czujesz co? — szeptem zapytano Kozika.

— Sza... coś niedobrego—odszepnął Wawrzon. — Skręćta na lewo i co duchu do Czerwonki. Tam żydzi czekają. Gdyby oni tędy szli ja ich zatrzymam...

Przemytnicy zniknęli w jednej chwili. Wawrzon pozostał sam.

— Ani chybi strażniki! — myślał. — Byle tamci Czerwonki dopadli, ja tu sobie radę dam.

Huk wystrzału przerwał ciszę nocną... Wawrzon na nogach się zachwiał i padł twarzą na ziemię z jękiem:

— O Jezu!

Strzał był śmiertelny: kula przeszyła piersi na wylot, z rany buchnęła krew i broczyła śnieżny kobierzec.

Niebawem nad leżącym pojawiła się wysoka postać Szmula. Trzymał w ręku dubeltówkę, z której wydobywał się błękitny dymek. Księżyc wypływał właśnie z poza obłoków.

— Głupi — szeptał żyd nachylając się i starając chłopa przewrócić.

Rozpiął korzuch Wawrzonowi i odszukawszy worek z pieniądzmi na piersiach, już go zdjął, gdy raniony oczy otworzył.

— Szmul... — jęknął. — Żyd... Moje pieniądze...

Chciwość dodała mu sił; jedną ręką schwycił Szmula za nogę, drugą nóż z za pasa wydobył i co miał mocy uderzył nim napastnika na ślepo, powtarzając:

— Moje pieniądze!

Szmul wyrwał się z rąk Wawrzona, ale postąpiwszy kilka kroków, padł z okrzykiem przekleństwa. Wszelkie usiłowania aby powstać na nic się zdały. Nóż Wawrzona zrobił swoje.

W tej chwili z oddali rozległy się przeciągłe głosy, jakieś wycia żałobne. Zbliżały się one coraz bardziej, nareszcie ukazały się tuż przy ziemi dziesiątki czerwonawych światełek, które skacząc sunęły naprzód.

Stado wilków myszkujących za żerem, poczuwszy krew świeżą, pędziło na ucztę. Prowadził je stary, doświadczony wilk, za nim postępowała gromada rozsypana. Wilki zgłodniałe rzuciły się na leżących... W godzinę ucztę zimową skończyły...

KONIEC.

KONIEC PANA NA WIZNIE.

Szkic historyczny z XII. wieku

I.

Zasępiony, chmurny po wielkiej komnacie zamkowej chodził Bolesta, pan na wizkim kasztelu, rycerz dzielny, Bolka Kędzierzawego faworyt. Żylastemi dłońmi brodę rwał czarną, palce w krucze włosy wpijał, to się po biodrach uderzał, to pięści zaciskał a z ust mu klątwy się rwały, z ócz iskry padały złowrogie. Do zwierza dzikiego był podobny, którego w klatce zamknięto, zbawiwszy swobody, jakiej w puszczach lesistych zażywał.

On, palatyn możny, pohańbienia dumy swej zaznał. Wszakci nie przez to łaskami i zaszczyty udarował go król, jedno że mężniej nadeń nikt prawie z rycerstwa w boju nie stawał; wszakci to on poskramiał tłuszcze pogańskie a u nich zyskał taką sławę, że spory i waśnie u niego rozstrzygano. I oto możnemu panu temu Okszyce dziewki odmówili, dla jednego biednego rycerka, któregoby mógł makatami za skarbca udusić. Mówili że dziewka do niego serca nie ma, a do tamtego lgnie — słyszaneż rzeczy, iżby woli podwik słuchano? To też kasztelan odmowy tej znieść nie mógł. Dziewkę z rodzicielskiego domu przemocą porwał a chociaż po dziś upór mu stawiała i nie chciała ślubować, trzymał ją na zamku, pewnym będąc, że ją ugnie i do miłowania zniewoli.

Aliści Okszyce, ród możny, stary, szanowany, oburzyli się na postępek kasztelana. Ojciec dziewki do króla jeździł, u biskupa płockiego był, oskarżenie na gwałt wnosząc i spra-

wiedliwości się domagając. Król ulubieńca ani karać, ani go do siebie zniechęcać nie myślał. Biskup inaczej na rzeczy patrzył. Bolestę za gwałciciela uznawszy, przed sąd powołał a gdy ten nie tylko nie stanął ale posły z naigrawaniem odprawił, srogą karą, bo klątwą zagroził kościelną.

Na biskupstwie płockiem siedział podówczas Werner, mąż chwalebny, miłością ku Bogu, czystością życia, pobożnością i rzadkiemi umysłu przymiotami, połączonemi z wysoką nauką i obyczajów ogładą, zalecony. Mąż ten owczarni swej jako dobry pasterz strzegł i niedopuścił, iżby się bodaj najmizerniejszemu z maluczkich pokrzywdzenie stało. Boleśnie co należne oddawał, ale skoro o dopełnionem przezeń bezprawiu usłyszał, świętem oburzeniem zawrzał.

— Nie może to być — mówił — iżby w moich oczach ważono się porywać na niewinność, na święte prawa rodzinne. Bolesta dziewkę ojcom wrócić musi, pokajać się i zaniechać zdrożnych zamysłów.

Mniemał świątobliwy mąż, że moc powagi kościelnej dumnego palatyna na drogę poprawy zwróci, że się upokorzy i słuszny wyrok uszanuje, ale całkiem inaczej się stało. Kasztelan, o dekrecie biskupim usłyszawszy, niepohamowanym gniewem wybuchnął.

— On, on mnie kajać się nakazuje, dziewkę zwrócić a może włosiennicę narzucić? Niedoczekanie! Naucze go ja, zali można z Boleszczycami poczynać — zawołał rozwścieczony.

I pięśmi skronie tłukł, i zdzbany chmielnego piwa wychylał biskupowi się odgrażając.

Żeby zasię pomście swej zadosyć uczynić, Karsko, włość do kościoła płockiego należącą, najechał i zajął.

Upominali go i król, i przyjacioły, żeby Bogu poświęconej własności nie tykał, on radom i napomnieniom urągał, odpowiadając, jako zuchwałość biskupią karci.

Werner przed sądy go zawezwał, gdzie przecież sprawiedliwość możności się nie ulękła, i bezprawnie zagarnięte włości komu należy zwrócić kazała.

Ustąpił kasztelan z Karska, ale to nowe upokorzenie więcej go jeszcze przeciw biskupowi złością napoiło. I oto jak odyniec raniony się rzuca, przemyśliwając, czemby biskupowi dopiekł za rzekomo śmiertelną obrazę.

— Ej, kasztelanie-drużbo — ozwie się z kąta wesołek Mucha, wielkiej u pana na Wiznie łaski zażywający — co ci się z mnichami zreć? Niebezpieczna z niemi sprawa... Jać ta do krotochwil jeno a uciechy, ano... tobie powiadam, zaniechaj tej wojny. Małoż ci Jaćwieży i inszej dziczy? Weźmij kołpak bojowy, mieczyk i hajda na pogaństwo! Krwie ci tam ani tam oni opuszczą, toć i na zdrowie pójdzie.

— A milcz-że plugawe plemię! — ryknął Bolesta — Zali chcesz bym ci łba nie skręcił, krotochwile ostaw do pory. Sam wiem co mam robić.

— Kasztelanie-drużbo, nie wiesz co robisz, bo cię złości opętały i szarpią myślami, niby wiatr jesiennemi liśćmi. Ja ci przy kuflu wesela dodaję, ty mi koście rzucasz. i za t ci Bóg zapłać, ale godzi mi się też, chociaż robakiem plugawym mnie nazywasz, radę dobrą dać . .

— Radę, ty? — mrukną kasztelan.

— Czemużby nie? — wyszczerzył zęby żółte Mucha. — Owo biskupowi się pokłoń, o dziewcce zapomnił i do klasztoru idź. Tam cię z pewnością na godność wielką wysadzą, jeno że musisz próbny czas wytrzymać i drwa rąbać, wodę nosić i psom jadło warzyć.

Oczy Bolesty zamigatały strasznie, sunął ku złośliwemu wesołkowi ale ten, widząc, że go co złego spotkać może, pomknął ku drzwiom, któremi właśnie wchodził Bieniasz, brat kasztelana.

Był to olbrzym o muskularnych członkach, twarzy włosami obrosłej, ciężki, ponuro patrzący, choć młody jeszcze. Chrzest święty zeń grzech pierworodny zmazał ale uczucia chrześciańskie nie przyjęły się w jego sercu, ile że podówczas wiara gruntu trwałego nie dosięgła. Chrzczono dziatki, do kościołów chodzono, księży słuchano, postów przestrze-

gano ale nie z przekonania, tylko dlatego, że tak czynili królowie, tak nakazywali biskupi i księża. Atoli pod zewnętrzną powłoką chrześciaństwa żyło przywiązanie do starych bogów, w niejednym dworze, w niejednej chacie bałwany chowano i tym ofiary przynoszono potajemnie.

Brat Bolesty w lasach, na łowach i utarczkach wojennych życie pędził, był niemal dzikim człowiekiem. Jemu byle łuk a kołczan, byle mieczyk a oszczep, juści dosyć. Na widok krwi śmiał się, jak on wilk, co się stadami po puszczach włóczy.

Ujrzawszy do Bolesta ręce wyciągnął.

— I cóż? cóż? — spytał.

— Dziś biskup do Biskupic zjechał — odparł Bieniasz na ławie siadając.

— Więc... — podjął kasztelan za ramiona go ujmując.

Bieniarz ręce rozwarł.

— Twoja wola — rzekł — ale zważ, że mnichy na czarach się znają. Zdradnie z nimi wojować.

Roześmiał się Bolesta, obok Bieniasza siadł, miodu syconego przynieść kazał i wszczęła się pomiędzy braćmi cicha rozmowa.

Trwała dosyć długo; kasztelan coś przekładał, Bieniasz się ociągał, wreszcie dłońmi o dłonie plasnęli.

— Zgoda — rzekł Bieniasz. — Ja tam nie będę winowaty, jeżeli się na ukręconym przez siebie postronku powiesisz.

II.

Pora była zimowa. Śnieg niby oponą ziemię otulił, gałęzie drzew srebrną okrył łuską i tafle lodowe w białe pieluszki spoił. O tej porze biskup Werner, kościoły objeżdżając w Biskupicach, włości kościelnej, na nocleg przystanął.

Znużony rychło na spoczynek się udał, mając przy sobie O. Benedykta, mnicha benedyktańskiego zakonu i jedno tylko pachołę służebne. Sędziwy pasterz jeszcze nie przymknął powiek, gdy z poza szczeliny zasuwy, okno opatrującej, błysnęło

światło niezwyłe, a wraz z tem krzyki się rozległy, tętent galopujących koni i szczęki oręźne.

— Na Boga, co to być może? —zawołał strwożony O. Benedykt.

— Znać nieszczęście włość nawiedziło—odparł biskup, powstając z łoża—ktoś zarzucił łuczywo i oto gore. Spieszmy z ratunkiem.

— Ale owe krzyki, ono szczękanie zbroiczek, ojcze wielebny, coś złego przeczuwam.

— Zali strach może być udziałem sług Chrystusa? — napomniał biskup. —Sumienia nasze czyste, czegoż się lękać mamy?

Nie domówił tych słów, gdy drzwi z trzaskiem się rozwarły i w nich ukazał się tłum uzbrojony, o twarzach dzikich trunkiem zaognionych, dzierżący w ręku topory, mieczyk i oszczepy. Blask kilku żagwi niesionych przez przodujących, oświecał tę rozszalałą tłuszczę, nadając jej charakter przerażającej zgrozy.

— Pokój zwami, czego żądacie—począł biskup, ujmując za krzyż, który mu na piersi zwisał.

— Śmierć mnichowi, śmierć czarownikom!—wrzasnął tłum i nagle z tej drużyny szalonej wysunął się Bieniasz, z podniesionym w górę toporem.

— Będziesz miał spokój, miłościwy biskupie!—zarychotał ochrypłym głosem, poczem ugodził w głowę bezbronnego starca.

— W ręce Twoje, Panie duszę moję oddaję... Przebacz im, bo nie wiedzą co czynią!—szepnął biskup i ucichł na zawsze.

O. Benedykta nie oszczędziła tłuszcza morderców, jeno pachole ocalało, aby świadczyć o karygodnym czynie, który całem Mazowszem wstrząsnął.

Była to zemsta wizkiego pana, za rzekomo doznaną obrazę.

III.

Do katedry gnieźnieńskiej od rana napływały tłumy wylękłe, wybladłe, milczące, ze strachem na siebie spoglądające. W powietrzu brzmiał odgłos dzwonu — dziwnie groźny, jakoby nieszczęsną chwilę zapowiadający. Serce nie uderzyło w obie strony blachy, lecz w jedną a ludzie wiedzieli, co to znaczyć miało.

Dnia tego miał być wyklęty Bolesta, kasztelan wizki a potem na kaźń powleczony.

W kościele zebrali się mnodzy dostojnicy państwa; był i Bolesław, i jego witezie, i co zacniejsi z władyków i ziemian. Gdy świątynia zapełniła się ściśle, przed ołtarzem ukazali się: arcybiskup gnieźnieński, Piotr, krakowski biskup Gedeon i poznański Bernard, w otoczeniu licznego duchowieństwa. Wszyscy nieśli czarne świece a twarze mieli smutne i surowe.

Po odśpiewaniu żałobnego psalmu cisza zaległa świątynię i rozległ się głos arcypasterza:

— Wyklęty jest Bolesta, wizkiej ziemi kasztelan, wyklęty ze służebniki swoimi i z przyjacioły, wyklęty z tymi co radę i pomoc jego pomysłom niecnym dawali

Długo brzmiała klątwa; przerażająca jej treść trwogą przejmowała serca zgromadzonych. Łamano ręce, wzdychano, a gdy arcybiskup kończąc smutny obrzęd wygłosił: „Anathema! Anathema! Anathema!" a duchowni przywtórzyli: „Fiat! Fiat! Fiat!" i jęli łamać świece a na posadzkę rzucać, takie łkania, taki płacz się ozwał, że aż sklepienia świątyni drżały.

Po tym obrzędzie król z duchowieństwem sunęli ku głównemu rynkowi, gdzie kaźń się odbyć miała. Ułożono tam wysoki stos smolny, a obok kocioł ustawiono, w którym wrzał wosk roztopiony.

Wyprowadzono wrzeszcie i przestępcę.

Do człowieka nie był podobny, włosy mu się jeżyły, twarz miał pożółkłą, wargi do krwi pokąsane, a w oczach szyderstwo. Zakamieniały był grzesznik, bo nie tylko, że się

nie łajał, ale gdy około duchownych przechodził, plunął w ich stronę, co widząc zebrany lud okrzyk wydał oburzenia.

Na stos wprowadził go mistrz z pachołkami i tam powrozami został przywiązany, poczem pisarz królewski dekret odczytał głośno.

Bolesta, usłyszawszy co go czeka, wykrzywił twarz i jął plugawemi słowy złorzeczyć Bogu, biskupom i królowi. Bluźnierstwa te rychle mu przerwano; owinięto go wielkiemi płatami lnianego płótna, przywiązano do słupa w środku stosu umieszczonego a następnie poczęto roztopionym oblewać woskiem.

Nieludzki ryk rozdarł powietrze, skazaniec wił się, powrozami targał, lecz niebawem umikł.

U słupa stała bezkształtna jakaś potworna masa.

Mistrz podpalił stos; smolne polana w jednej chwili się zajęły— płomień strzelił olbrzymią kolumnę osłoniętą czarnym płaszczem dymu . .

Taki był koniec dumnego pana na Wiznie.

Bieniasza ująć nie zdołano; lud opowiadał, że go ziemia pod Zakroczyniem pożarła.

Ciało biskupa Wernera złożono w katedrze płockiej; odwiedzający grobowiec męczennika doznawali wielu cudownych łask. Dziś ani śladu grobu tego.

KONIEC.

ŚMIERĆ TRĘBACZA PUŁKU.

Towarzysze nazywali go Wiktorem, właściwie jednak zwał się Janem Blonart.

Blonart urodził się pod szczęśliwą gwiazdą, wszystko mu się wiodło, został trębaczem pułku, nikt nie umiał wygrać tak pewnie i czysto pobudki, poznawano go zdaleka po tych dziarskich, głośnych wdziękach.

Jak on grał pięknie na trąbce! Z natury był muzykalnym, w dzieciństwie już przysłuchiwał się z zamiłowaniem harmonijnym głosom ptaków, dopatrując się w chórach drużyny śpiewaków Bożych czegoś niezwykle pięknego, chociaż rówieśnicy śmieli się z tego urojenia. Zwykle gdy pasł trzodę w swej rodzinnej wiosce w Tourainie, wykręcał z kory wierzbowej różnego rodzaju piszczałki i na tych prostych instrumentach wtórował rozśpiewanemu ptactwu.

Nareszcie został posiadaczem prawdziwego instrumentu, wspaniałej trąbki ze lśniącej miedzi. Podczas pobytu w garnizonie całemi dniami przesiadywał nad brzegiem Orny i i ćwiczył się w grze na niej. Była to dziwnie piękna miejscowość. Przez gałęzie starych kasztanów dostrzedz można było wieże kościoła w Caen, o wysmukłych kształtach.

O zachodzie słońca rozpoczynał się wielki koncert: dźwięk spiżowych dzwonów płynął w błękity naprzód głośno, donośnie, wzlatując wyżej cichł miarowo, aż konał wreszcie wśród mroków wieczoru.

Blonard siadywał długo jeszcze oczarowany dźwiękami tej symfonii przecudnej. Nie był on jednak marzycielem, przeciwnie, lubił wesołość, zabawę godziwą, a jego jasne spojrzenie świadczyło o życiu sposojnem, bez trosk. Miał tyl-

ko jeden ciężki smutek w swem życiu, gdy powołany do szeregów musiał rozłączyć się z swym starym ojcem i porzucić strzechę rodzinną. Pocieszał się myślą, że czas służby minie szybko, że po dwóch latach wróci do ukochanego ojca i wioski.

Miał lat dwadzieścia pięć, a w tym wieku smutek przemija łatwo. Zresztą życie wojskowe ma swoje ponęty: gawędy z towarzyszami, wesołe dźwięk trąbki z rana wzywający na mustrę, wieczorem dający hasło spoczynku; miał też pewien urok dla niego i marsz z pułkiem po ulicach miasta, gdzie zgrabne główki kobiece patrzą ciekawie ne dziarskich żołnierzy; wreszcie spoczynek po ćwiczeniach wojennych. Dni więc szybko ubiegały Janowi, gdy nadszedł rok 1870 a z nim wojna wybuchła.

* * *

Walczono przez dzień cały. Już słońce opuszczało się poza kraniec horyzontu a bój trwał zacięty. Obie strony postanowiły zwyciężyć lub zginąć i żadna z nich cofać się nie myślała. Wśród huku armat, strzałów broni ręcznej i okrzyków żołnierzy brzmiały dźwięczne tony trąbki Błonarta. Szedł naprzód, wciąż naprzód, wiodąc za sobą żołnierzy pijanych dymem prochu i obryzganych krwią. Walczono pierś o pierś, ramię przeciw ramieniu.

Wiktor, jak gdyby chciał wcielić wrzeczywistość znaczenie nadanego sobie przez towarzyszów imienia „zwycięzcy", niby rozhukany rumak pędził na wroga dmąc w trąbkę bez przerwy.

Nagle stało się coś dziwnego: przystanąwszy nie dostrzegł w koło siebie żadnego z francuzkich uniformów; przed nim i poza nim czerniły się szeregi nieprzyjacielskie. Naprożno usiłował przedrzeć się przez ten mur żywy, dziesiątki strzelb wymierzono wprost przeciw niemu, ciało oplotły mu silne ramiona Prusaków; został wzięty do niewoli

Słońce nie oświeca już wioski, noc okryła wszystko czarnym swym płaszczem, zmuszając walczących do zaprzestania boju. Błonart idzie otoczony gromadą nieprzyjaciół, bezwiednie jak automat, w uszach mu brzmią wciąż wrzaski bojowe.

Prusacy zatrzymują się pod lasem, rozpalają ognisko, którego płomienie rzucają ponure światło na pnie drzew osmolone prochem armatnim. Wiktor kładzie się na mchu, znużenie bierze górę — usypia i śni.

Widzi się małym chłopięciem. Słońce świeci jasno i wesoło, ptaki śpiewają rozgłośnie, widzi swą chatę ukochaną i matkę siedzącą przy kołowrotku. On wraca ze szkoły z prętem z młodej leszczyny uciętym.

Jakaż to piękna strzelba! Przechadza się dumnie po podwórzu, założywszy ją na ramię z miną buńczuczną, gdy wielki pies wybiega nagle zajadle zaszczekując. Przestraszony żołnierz ucieka co sił rzuciwszy strzelbę na ziemię.

Wtedy matka otwiera okno wołając:

— Wstydź się — żołnierz prawdziwie odważny nigdy się nie poddaje!

„Prawdziwie odważny żołnierz nie poddaje się nigdy!" Zdaje mu się, że głos jakiś surowy powtarza mu nad uszami te słowa. Budzi się, spogląda, dokoła las cały spoczywa w głębokiem milczeniu. Nie słychać nawet ani kroków szyldwacha, bo tłumi je miękki kobierzec mchu. Niebo zasiane tysiącami gwiazd przeziera z poza gałęzi; chłodny powiew wietrzyka poprzedzającego zwykle świtanie niesie na pola żywiczną woń lasu. Wiktor przeciera oczy, przypomina sobie teraz, że został wzięty do niewoli.

Chce wstać, uwolnić się lub umrzeć! — ale czuwają nad nim ruszyć się nie może.

Godziny upływają powoli, horyzont jaśnieje, widać już drogę przerzynającą las, a tam, w oddali pagórki z zaroślami. Droga mknie nad przepaścią, w głębi której szumi wartki potok.

Trębacz daje znak wymarszu, ale tym razem nie Wiktor go oznajmia. Spogląda smutno na swoje trąbkę zmuszoną do milczenia.

Ogarnia go niepohamowane pragnienie śmierci. Prawdziwie odważny żołnierz nigdy się nie poddaje! Słowa te brzmią mu nieustannie w uszach.

Postępuje, mając z prawej i lewej strony strażników, którzy bacznie śledzą każdy jego ruch. Przepaść znajduje się tuż... Tak—śmierć go uwolni od hańby dźwigania więzów.

Rzuca się bez namysłu na jednego ze strażników, ten wydaje straszliwy okrzyk a pchnięty nadludzką siłą znika w przepaści. Błonart chce rzucić się za nim ale kilka par żelaznych dłoni przytrzymuje go: czuje chłód stalowej lufy rewolweru na swojem czole. Zamyka oczy. W chwili tej myśli o swym starym ojcu, widzi go opuszczonym, bez syna, bez opieki, kończącego we łzach smutne swe życie... i bierze go nagle lęk jakiś, umrzeć nie ma już odwagi.

Dowòdca nakazuje żołnierzom opuścić broń, niechce, ażeby wyrządzono krzywdę więźniowi. Wiktor wie, że go czeka surowa odpowiedzialność a jakąż wymyśla dla niego męczarnię?

Teraz słońce oświeca łąki i pola w pełni blasku. Dęby i buki przydrożne wyciągają do góry swoje żylaste ramiona, na każdym liściu wisi kropla rosy, błyszcząca jak dyament. Wszystko jaśnieje, odradza się, odżywa pod ciepłem tchnieniem tego nieba wlewającego we wszelkie twory ziemskie światło, siły i życie. Wiktor nic jednak nie widzi. Co go obchodzi ten majestat natury; on słucha jedynie tętna bolòw swej duszy.

A jeden dźwięk głuszący szczęście i życie brzmi coraz głośniej i wyraźniej.—Jesteś tak młodym, masz całą przyszłość przed sobą. Nie... ty nie umrzesz, nie możesz umrzeć!

Żołnierze stanęli u stóp pagórka. Oficer zbliża się do Błonarta, rozkazując rozwiązać mu ręce.

— Zagrasz sygnał wezwania—rzekł do niego—ztąd widzieć cię będą. Patrz, na skraju łąki spoczywają żołnierze, których zwabić trzeba w zasadzkę. Skoro wypełnisz moje polecenie, wolnośc natychmiast przywrócona ci zostanie.

— Kto są owi żołnierze?—zapytuje Wiktor odurzony niespodzianą obietnicą.

— Co cię obchodzić to może—odpowiada zimno oficer—Czyń co ci każę, inaczej czeka cię śmierć.

Błonart spostrzega wymierzone strzelby ku sobie. Następnie wszyscy ci ludzie rozpierzchają się i kryją w lesie, po obu stronach drogi, nie opuszczając go z celu.

— Graj... graj sygnał!— woła oficer niecierpliwiąc się— a wy strzelajcie jeśli nie posłucha!

Do uszu więźnia dobiegł zgrzyt podnoszonych kurków.

Wiktor ujął za trąbkę, zapuścił wzrok przed siebie i wtedy dopiero dostrzegł w oddali obozowisko: byli to Francuzi.

Nieprzyjaciel chciał ich wyciągnąć w zasadzkę, aby zaś tego dokonać, zamierzał użyć trębacza, ich towarzysza, współziomka.

— Sygnał! sygnał! — powtarzał oficer coraz natarczywiej, tuż nad uchem Wiktora.

Błonard zbliżywszy trąbkę do ust, wydął policzki i grać począł. Rażne dźwięki instrumentu za brzmiały w powietrzu jak hymn uroczysty; Wiktorowi jednak zdawało się, że trąbka jego wydaje okrzyk zguby i śmierci. Grał jednak W obozowisku Francuzi ruszać się poczęli. Dostrzeżono go i poznano: był to przyjaciel który ich wzywał; pełni ufności spoglądali ku niemu, wydając okrzyki radosne.

Grał Wiktor, dął pełną piersią a tony trąbki rozległy się coraz głośniej i pryskały na wszystkie strony.

Nagle w dolinie ozwał się głos dalekiego dzwonu: było to południe. Wiktorowi krew uderzyła do głowy. Przypomniał sobie dzwon wzywający wiernych na Anioł Pański w Caen, ujrzał kasztanową aleję, swą wioskę... ojca... swą ukochaną Francją! I o to on tę Francją zdradzał... Wprowadzał braci w zasadzkę, oddawał ich na pastwę Prusakom — był nikczemnym zdrajcą.

Każdy szmer wiatru, każdy szelest liści drzew, każdy świegot ptaszęcy, każdy dźwięk dzwonu powtarzał mu:

— Zdrajca... Zdrajca... Zdrajca!

Rzucił trąbkę na ziemię.

— Graj... graj jeszcze! — wołał oficer dziko.

— O ja wam zagram nikczemniki, zagram wspaniale!— krzyknął Błonart i ze zdwojoną siłą zatrąbił na odwrót.

Grad kul osypał go w tej chwili.

KONIEC.

W sprawie kosciola polskiego w New Yorku.

Szanowni Bracia Rodacy!

Ponieważ miejscowa Gazeta Polska, chociaż niepożądana częstokroć, wciska się jednakże do polskich domów i jest formalnie narzucaną — dlatego przypuszczamy, że wielu z Was czytało rozprawę zamieszczoną w No. 8 tejże Gazety z dnia 20 lutego b. r. pod napisem „Oburzające" i o „Domu Emigracyjnym".

Każdemu z Was wiadomo, że cała ta opowieść jest jednem nieprzerwanem pasmem kłamstw i oszczerstw, wielu z Was bowiem było naocznymi świadkami zajścia w ustępie tym z taką przewrotnością opisywanego.

Aby jednakże sprawę tę należycie wyjaśnić i wyprowadzić z błędu wielu, którzy nie wiedząc na pewno, jak się sprawa miała, mogliby uwierzyć bezczelnym kłamstwom, oraz aby dać należytą odprawę Gazecie Polskiej która od pewnego czasu zajmuje się fabrykowaniem prawdy na zamówienie i gdy już wszystko i wszystkich obrzuciła błotem, czepia się teraz kościoła polskiego oraz kierownika tegoż to jest proboszcza miejscowego ks. Jana Strzeleckiego, kapłana ze wszech miar zasługującego na powszechny szacunek — postanowiliśmy umieścić w „Obywatelu" jako piśmie bezstronnem, kierującem się prawdą i dlatego zasługującem na to, aby każdy uczciwy człowiek miał je w swym domu — kilka niniejszych uwag.

Zanim jednak przystąpimy do opisu samego zajścia w kościele, które tak oburzyło trójkę od Gazety Polskiej że aż wyrzuciła na papier potok kłamstw i oszczerstw w pomienionym artykule — musimy przypomnieć Szanownym Braciom, kto wchodzi wskład tej trójki, bo to bardzo ważne, osoby te bowiem znane są szerszemu ogółowi i nikt nie będzie się dziwił, że taki artykuł wyszedł z ich fabryki, bo jak powiada przysłowie: „jaki pan, taki kram — jakie drzewo, taki owoc".

Na czele Gazety Polskiej stoi przedewszystkiem jako właściciel i wydawca p. Kornobis wielki człowiek — generał — naczelny wódz wszystkich wojsk

— boli nas tylko, że musimy dodać — wojsk polskich — politykier — filantrop — patryota jakich mało — gotów każdej chwili oddać całe mienie a nawet ostatnią kropelkę krwi przelać za Ojczyznę naturalnie słowami, bo czyny jego o tem nie świadczą — bo nawet jego dzieci po polsku nie umieją a według naszego zdania to jest pierwszym i najważniejszym obowiązkiem każdego dobrego syna Ojczyzny.

Drugim z kolei jest redaktor tejże Gazety — jak wielu twierdzi, prawowierny syn Izraela Lewynsky, w Ameryce noszący nazwisko p. A. Lewiński. — Znany on jest wielu i wielu wiele o nim mogłoby powiedzieć. Jest to redaktor jakich mało — istny geniusz w miotaniu oszczerstw — niedościgniony mistrz w wytwarzaniu przeróżnych karczemnych przezwisk — mowca niezrównany (choć go czasem wygwiżdżą lub nawet nazwią szują to nic — on na takie drobnostki nie zważa). Facet ten pcha się wszędzie, gdy go drzwiami wyrzucą, włazi oknem lub nawet kominem. Jeżeli bracie co przeskrobiesz a boisz się opinii publicznej — idź do niego zapłać mu oznaczoną cenę a on cię takimi pochwałami obsypie w swojem pisemku, iż wszyscy będą myśleć, że ty najlepszy z dobrych— naturalnie, jeżeli uwierzą jego twierdzeniu, bo podobno ludzie już całkiem zwątpili o jego prawdomowności. Na dowód przytoczymy niedawne zajście z Kornobisem — jego teraźniejszym bosem. Gdy go tenże napędził — aj gwałtu jakież on artykuły pisał i podawał do wiadomości publicznej we „Wędrowcu” tygodniku wychodzącym w Meriden. Conn. Zrobił go szują, szalbierzem. oszustem politycznym, złodziejem — w ogóle wszystkiem, na co tylko jego mózgownica zdobyć się potrafiła — nagle sytuacja się zmieniła — bos przyjął go napowrót w służbę — więc p. Lewynsky dalejże prać dawne brudy — dalejże bronić i wychwalać swego chlebodawcę i tak jakoś dopasowali do siebie, że dzisiaj żyją w najlepszej zgodzie.

Ten pan redaktor już od dłuższego czasu choruje na wielkiego uczonego — zdaje się mu biedakowi, że posiadł najwyższą wiedzę, że, jak to mówią po prostu, zjadł wszystkie rozumy — wszystkie inne gazety oprócz jego — to świstki, szpargały — szmaty — ścierki i t. d. i t. d., tak on sam nazy-

wa je w swojem pisemku; redaktorów innych czasopism polskich uważa pan Lewynsky za skończonych osłów — nieuków — i t. p. on jeden jedyny chce jaśnieć wśród tych powszechnych ciemności duchowych jako gwiazda lub lampa czarodziejska — zapomina widocznie biedaczysko, że ten jest największym osłem i trutniem, kto drugiemu odmawia wszelkich przymiotów duchowych i chce go poniżyć w opinii publicznej pod względem wiadomości naukowych. Zachodzi pytanie gdzie też p. Lewynsky czy tam Lewiński nabrał tej olbrzymiej wiedzy — która go tak opanowała, że zatarła w nim wszelkie poczucie honoru i uczciwości.

(Dokończenie nastąpi).

ROMAN J. KOPELMAN,
adwokat przysięgły, Polak,
praktykuje tylko w wyższych sądach.
309 Broadway - New York.
Godziny przyjęcia { 12—1. 4—6.

S. Wagschal,
SKLAD UBRAN GOTOWYCH
178 Essex St., New York.
Poleca się względom polskiej publiczności.
Ręczymy, że towar lepszy i tańszy niż w innych sklepach.
MISSFIT CLOTHING A SPECIALTY.

KAWIARNIA KOSMOPOLITYCZNA
CAFE BOULEVARD,
Polskie Gazety.
156 Second Ave. (cor. 10th St.)

BACZNOSC POLACY!

Obecnie nadarza się wielka sposobność założenia swego własnego gospodarstwa w żyznej i pięknej okolicy, położonej nad Red River w Minnesocie. Nie ociągajcie się, ale póki czas wybierzcie sobie ziemię na farmę, gdyż później będzie otworzona rezerwacja Indjańska z Red Lake a wówczas do 15.000 ludzi zgłosi się do zakupna gruntów w Crookston, co nastąpi nie dalej jak około 1 Czerwca, 1896.

Trzy polskie kolonie zostały już założone w roku 1895, Lewakowski, blisko Argyle, Stanisławowo, blisko Stephen i Kroże przy Hallock.

Jeżeli Was to interesuje piszcie pod adresem: Land Commissioner, Great Northern Ry. St. Paul, Minn., a otrzymacie bezpłatnie mapy i ilustrowane Broszury. Również otrzymacie szczegółowe informacje, tyczące się wolnych rządowych gruntów, jak i metodę sprzedaży ziemi przez Great Northern Co., polegającą na łatwych częściowych spłatach.

Broszury wszelkie są drukowane w polskim języku.

Polska Restauracja i Kawiarnia
SMACZNE ŚNIADANIA, OBIADY i KOLACJE.
Polska kuchnia. Board tygodniowy.
L. Romanowski, 77 E. 4-th Street.

Kto to?

Wąs szumiasty, tęga mina,
Zaraz poznać ziemianina
Pewien, choć go grad przetrzepał,
Że nie będzie biedy klepał.

„Niech kto inny tam się biedzi,
Ja bo rozumu nie tracę —
Dopomogą mi sąsiedzi,
Jak będę miał, to ich spłacę!"

No, różny bywa trafunek,
I nieraz zawód się zdarza;
Nasz biedak znalazł ratunek,
Ale — w kieszeni lichwiarza....

BĄDŹ KONWALIĄ.

Kwiateczkiem jesteś, dziewczyno hoża,
Lecz nie bądź jednym z kwiatów co słyną,
Że z za siódmego pochodzą morza —
Bądź konwalią, dziewczyno!

To taki kwiatek swojski, poczciwy,
Zamorskim wdziękiem oka nie zwabia,
Lecz skromnie, cicho rodzinne niwy —
Rodzinne lasy ozdabia.

Kielich ma biały i woń przecudną,
Tą wonią zda się oddycha, żyje,
Gdyby nie ona, znaleźć go trudno —
Bo chętnie w cieniu się kryje.
Miej białość, skromność swojskiego kwiatu
A wonie, co się w okół rozpłyną,
Same o tobie dadzą znać światu —
Bądź konwalią, dziewczyno!

Polski Lekarz

Dr. Z. Gruenberg

317 E. 14 St. bet 1 & 2 Aves.

Przyjmuje chorych od 9 do 10 rano, od 2 do 3 po południu i od 7 do 8 wieczór.

Leczy wszelkie choroby wewnętrzne, choroby dzieci, osłabienie nerwów etc.
Specjalność cierpienia syfilistyczne i skórne.

Helena Mruczek,
(RIVER)

Pracownia Sukien Damskich

434 E. 5th St.

Wykonuje wszelkie roboty elegancko i tanio.

WAGNER & SANDFORD

MANUFACTURERS OF AND DEALERS IN



BILLIARD AND POOL TABLES,

AND ALL KINDS OF BILLIARD SUPPLIES,



Ivory and Composition Billiard and Pool Balls, Cues, Tips, Cloth, Pockets, etc.

Brunswick-Balke and other Standard Tables always on Hand.

Warerooms and Factory

45 Great Jones St.,

(Near Broadway, take Broadway Car)

Zamiejscowym biznesistom wysyłamy biliardy po tańszej cenie, niźli na miejscu mogą nabyć.

Piszcie do nas nim kupicie biliard gdzie indziej.